ROK XXIX. We Lwowie, dnia 1. grudnia 1922. Nr. 23.

GAZETA KOŚCIELNA

Przedpłata na r 1922:
roczna . . . . 2.600 Marek
półroczna . . . 1.300 „
kwartalna . . . . 700 „
w Ameryce . . . 1 dolar
Nomer pojedynczy kosztuje 80 Mk.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi na razie tylko 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya X. Dr. A. PECHNIK, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 50 Mk. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Memorjał Episkopatu polskiego

o obecnem nienormalnem położeniu Kościoła w Polsce.

Dnia 8 września r. b. No 4415/22 J. Em. Arcybiskup Gnieźnieńsko-Poznański wystosował do Prezesa Ministrów co następuje:

Przed kilkoma miesiącami wnieśliśmy, Biskupi Polscy, do Rządu memorjał z przedstawieniem stanu Kościoła w Polsce.

Podnieśliśmy w memorjale naszym szczególnie dwa punkty: pierwszy odnosi się do stanu prawnego Kościoła w Polsce, a drugi do materjalnego uposażenia.

Mało kto wie dziś o tem, że w wolnej Polsce w stosunku Kościoła do państwa jeszcze po dziś dzień nie zostały zniesione prawa antykościelne ukute przez naszych ciemięzców i że w Polsce obowiązują dosłownie prawa carskiej Rosji. Przytoczyliśmy w naszym memorjale liczne dowody na to, że te prawa krzywdzące Kościół nie są tylko na papierze, ale są w wielu wypadkach w krzywdzący sposób stosowane. Ale nawet gdybyśmy nie podali sami żadnych konkretnych przykładów, to czyż sam fakt istnienia i obowiązywania podobnych praw nie jest krzywdą Kościoła? A jest ono zarazem i pewnego rodzaju ubliżeniem i dla samego państwa, boć przecież społeczeństwo całe przeciwko tym właśnie prawom protestowało i uważało je za symbol ucisku i prześladowania zarazem Kościoła jak i narodu.

Gdyby więc nawet nie działał tu słuszny i sprawiedliwy wzgląd na Kościół, to sam honor narodu nie powinien ani dnia jednego cierpieć i dopuścić do podobnie opłakanego stanu rzeczy.

Drugie nasze zażalenie odnosi się do stanu materjalnego Kościoła. W pierwszym naszym wspólnym liście pasterskim oświadczyliśmy się sami z gotowością, ażeby przyjść z pomocą ludności wiejskiej z parcelacją dóbr duchownych w zamian za kompensatę ze strony państwa. Złożywszy jednak ów dowód bezinteresowności Kościoła, nie możemy dłużej na to patrzeć obojętnie, jak państwo, troszcząc się i słusznie o potrzeby wszystkich swoich obywateli, po macoszemu obchodzi się z Kościołem. Rządy zaborcze uciskały Kościół, zabierały jego dobra, ale starały się przynajmniej o pozory, że dóbr kościelnych nie konfiskują, tylko biorą je w zarząd, a w zamian za to przyznają Kościołowi materjalne utrzymanie. Jakkolwiek utrzymanie to nie było w żadnym stosunku do dóbr zabranych i t. zw, kongrua była bardzo skromna, ale ostatecznie była i istniała. Tymczasem Rząd polski, pozostawiając kler na pensjach dawnych, albo podwyższając je nieznacznie tylko, pozbawia Kościół najprymitywniejszych warunków utrzymania. Bo do wiary to nie niepodobne a jednak prawdziwe, że kapłan zajęty w duszpasterstwie pobiera rocznie sumę daleko nie dochodzącą 2 tysięcy marek. Ale i tę sumę otrzyma tylko wtedy, jeśli się po nią osobiście zgłosi w urzędzie. Do jakich to już wprost nieznośnych dochodzi stosunków. to wystarczy nadmienić, że ksiądz z prowincji, któryby chciał pobrać w mieście powiatowem swoją pensyjkę, musiałby za samą furmankę daleko drożej zapłacić, niżli jego całoroczna pensja wynosi, której, nawiasem mówiąc, nie otrzyma naraz całej, ale dopiero w miesięcznych ratach.

My zaś Biskupi nie jesteśmy już w możności utrzymać naszych seminarjów, z których każde ma niedobór. A już nie mówię o pensji biskupów, która w Polsce wynosi mniej niż pensja woźnego, bo około 70.000 m. miesięcznie. Mogę śmiało powiedzieć. że jest stan bezprzykładny stosunków tak niezdrowych i tak nieznośnych, iż dłużej utrzymać się nie dadzą.

Wtedy kiedy nawet bankrutująca Austrja przemieniła dawne pensje kleru na monetę dzisiejszą, kiedy Prusy protestanckie podniosły i w miarę potrzeby podnoszą pensje duchowieństwa, wtedy w Polsce Kościół znajduje się w położeniu opłakanem.

I gdyby przynajmniej można było upozorować taki stan rzeczy np. tym argumentem, że inne wyznania muszą w Polsce znosić los podobny. Ale tymczasem tak wcale nie jest. Tak np. żydzi i protestanci mają w Polsce podatek wyznaniowy, który ściągany jest z urzędu przez państwo, a idzie w duże miljony, o jakich Kościołowi katolickiemu ani marzyć nie wolno. A mimo tego olbrzymiego źródła dochodu jeszcze państwo osobno z swej panstwowej kasy nieraz łoży na pensje dla tych wyznań więcej, niż dla dygnitarzy Kościoła katolickiego.

A przecież my nie domagamy się żadnych nadzwyczajności, upominamy się tylko o to, co jest najkonieczniejsze. Nikt z nas nie domaga się żadnych zasiłków rządowych dla tych np. probostw, które, mając ziemię, mogą się same utrzymać, ani też nikt z nas Biskupów nie ma pretensji o to, ażeby ci bardzo zresztą nieliczni Biskupi, którzy mają dobra, pobierali od rządu zasiłki. My się domagamy od państwa środków do życia tylko dla tego kleru, który jest wyłącznie albo prawie wyłącznie na pensję skazany. Żądanie nasze zaś jest nie tylko, postulatem sprawiedliwości, a nawet ludzkości, ale jest nadto podyktowane zdrowo odczutym interesem państwowym. Można na to liczne przytoczyć dowody; tak np. państwo samo zapo-



trzebowuje dla siebie bezpośrednio pewnych funkcyj od Kościoła, spełnianych przez kler bezinteresownie, któreby inaczej musiało opłacać, utrzymując ad hoc cały aparat administracyjny, wymagający kosztów miljonowych. Do takich zaliczyć można różne wykazy statystyczne, lekarskie i t. d. Tymczasem dziś dochodzi do tego, że papier na owe wykazy kosztuje nieraz więcej, niż wynosi pensja kapłana wykaz sporządzającego.

A ten stan rzeczy jest jeszcze przeszkodą w dopełnieniu innej potrzeby.

Uchwaliliśmy wspólnie na jednej z pierwszych naszych konferencyj że z chwilą uregulowania płacy dla kleru my uregulujemy sprawę iura stolae, ażeby w ten sposób ulżyć ludowi. Ale jak długo kler jest pozbawiony wszelkich warunków do życia, to rzecz oczywista, że tego uczynić nie możemy. Tak więc rząd, nie dając Kościołowi, co mu się należy, dotyka bezpośrednio Kościół i nas, ale pośrednio dotyka także szerokie masy ludu.

Nawet sam prestige państwa cierpi na tem.

I tak donoszą nam, że na kresach zachodnich agitatorzy wrogich państwu żywiołów, ażeby usposobić lud źle dla Polski, wskazują na śmieszne dotacje kleru jako na dowód bankructwa państwowego i wrogiego dla Kościoła nastroju.

Albo znowu inny przykład: my Biskupi jesteśmy przymuszeni wyciągać już dziś rękę za granicę do naszych kolegów w Ameryce, we Francji, Belgji i t. d. o jałmużnę na Kościół w Polsce. Uciekamy się do takiego kroku dotąd jeszcze jak najrzadziej i czynimy go dopiero w ostateczności, ale ostatecznie coraz częściej zniewoleni do tego jesteśmy coraz to opłakańszym i krytyczniejszym stanem naszych seminarjów i naszego kleru. Bo czyż wolno nam patrzeć obojętnem okiem na to, jak się rozprzęgają nasze seminarja, albo jak księża nasi przymierają głodem? A niestety jesteśmy już tego świadkami. Biskup Sufragan Poznański i Kanonicy w Poznaniu, mając na kwartał 70.000 marek pensji, wyprzedają meble, książki, przedmioty drogocenniejsze, aby głód zaspokoić.

W takich warunkach żyjąc, musimy niestety oglądać się na zagranicę, na Biskupów krajów innych i kołatać u nich o stypendja mszalne i zasiłki. Jakież to jest bolesne dla nas i jak upokarzająca konieczność, której nam państwo oszczędzić powinno, nie tylko w naszym, ale w jego własnym interesie. Bo i co za opinja stąd urabia się zagranicą o Polsce, gdzie Kościół musi żebrać o warunki do życia, jak gdyby to był jaki kraj misyjny.

Przedstawiając Panu Ministrowi wszystkie te racje, pozwolę sobie zauważyć, że w memorjale poprzednim zapowiedzieliśmy odwołanie się do katolickiego społeczeństwa w razie gdyby nasze postulaty nie były spełnione.

Po świeżem jednak oświadczeniu Rządu, z którego znać troskę o Kościół i jego potrzeby materjalne, zwracamy się raz jeszcze do Rządu i ponownie przedstawiamy opłakany stan Kościoła w Polsce.

W imieniu Biskupów polskich

E. Kard. Dalbor, Prymas.

Po wyborach.

Wyniki wyborów oceniają poszczególne stronnictwa, reasumując plusy i minusy; pod kątem czysto politycznym ocenialiśmy je i my jako obywatele. Należy je jeszcze osądzić pod kościelnym kątem widzenia, czyli pod czysto kapłańskim. Musimy wyeliminować wszystkie względy polityczne, przyłożyć miarę czysto duszpasterską. Uczynić to tak, jakby to uczynił obcy ksiądz, nie mający nic wspólnego z naszem społeczeństwem, ale znający je dokładnie.

Nasze postulaty wyborcze wyrażały się w liście Episkopatu polskiego, którego rozszerzeniem i uzasadnieniem był zbiór kazań: „Najważniejsze obowiązki Polaka-katolika w chwili obecnej". Chodziło tam o nierozerwalność małżeństwa i szkołę wyznaniową. Otwarci zwolennicy tej zasady liczą w nowym sejmie 180 głosów. Można przypuszczać, że, jeśliby pojawił się w sejmie wniosek przeciwny, znajdzie się jeszcze ponadto jakie 70—90 głosów, które będą przeciw. Nie należy się więc obawiać w sprawach pierwszorzędnego znaczenia dla Kościoła takich uchwał, któreby były dla niego wrogie, ale nie możemy liczyć i na coś dużo lepszego.

Nakazanem było, by z ambony nie mówić o polityce, Naogół stosowano się do rozporządzenia, bo nawoływanie, by wierni szli głosować, by liczyli się w sumieniu, na kogo głosować, nie jest agitacją polityczną z ambony. Agitacja duchowieństwa poza kościołem nie wszędzie miała odpowiednie formy. Przekroczenia miary było dość wiele, trochę było nieroztropności, a nie obeszło się i bez kompromitacji, do czego należy zaliczyć publiczne zarzucanie sobie nawzajem przez księży kłamstwa i publiczne zwalczanie się w sposób nie tylko nie kapłański, ale i niegentelmański. Sama agitacja wyborcza prowadzona przez poszczególne stronnictwa, nie wywołała, zdaje się, na ogół większego roznamiętnienia. Spokój, jaki panował w czasie samych wyborów, świadczył, że zwolennicy poszczególnych list nie pałali do siebie zbytnią nienawiścią i że ostry ton prasy, odezw wyborczych był niemal grochem, rzucanym o ścianę. Że był teror ze strony niektórych stronnictw, że była demagogja, to już są nieodłączne cechy wyborów. To są sprawy honoru pewnych partyj i podstawy ich siły, które zazwyczaj kończą się smutno, bo klęską przy następnych wyborach.

Powodzenie demagogji przesunęło się przy obecnych wyborach na wschód, na którego krańcach zwyciężyła już nie demagogja, ale monstrum polityczne. Posłuch dla tanich, czy nawet cynicznych obiecanek jest zawsze nie najlepszem świadectwem dla sumienia wyborców. Świadczy to, że nizkie instynkty jak chciwość, samolubstwo, są dominantą w ich duszach. Obok tego nie możemy, jako duszpasterze, przejść obojętnie. Niektóre hasła wyborcze, rzucane na wsi czy w mieście, ponieważ odnosiły się do spraw majątkowych, znajdowały odgłos, chociaż pochodziły od najotwartszych wrogów Kościoła: „Nie dostalibyśmy przy parcelacji pola, gdybyśmy na ten numer nie głosowali" — było obawą, która nawet i pobożne dusze porywała.

Przekonaliśmy się, że jest jeszcze wiele otchłannej wprost ciemnoty wśród naszych owieczek. Głosowano na komunistów, bo komuniści to tacy ludzie, którzy chodzą do — Komunji. Okazało się, że można jeszcze straszyć pańszczyzną, odbieraniem pola, kupionego przy parcelacji i innemi tym podobnemi rzeczami, które chyba są źródłem doskonałego humoru dla samych agitatorów, gdy po powodzeniu wiecowem omawiają szczegóły występu. Wprawdzie republika Okonia przesunęła się pod Hrubieszów i Zamość, Stapiński zyskał tylko dwa mandaty, podobnie jak komuniści, ale to nie jest jeszcze to, co być powinno. W Małopolsce pięć mandatów według obliczeń wyniku głosowania stracono na rzecz socjalisty, sjonisty, Stapińskiego itd., a można powiedzieć, że 10—12 przez to, iż było niepotrzebne rozbicie, iż najbliższe sobie stronnictwa walczyły ze sobą zawzięciej niż z obozami biegunowo sobie przeciwnymi.

Wiele zastanowienia budzi ogromna liczba posłów mniejszości narodowych. Jest ona uciemiężeniem dla polityków, a dla nas jest to grupa prawie bez wyjątku akatolicka: żydowsko-prawosławno-protestancka. Jaką będzie jej polityka kościelna, jest rzeczą ogromnie dla nas ważną. Może tu wchodzić w grę los tych katolików, którzy tam wśród nich żyją. Nie wiemy, co o tem myśli tamtejsze duchowieństwo, jak ono przedstawia sobie sytuację. W każdym razie nie jest ona najlepszą, przynajmniej oglądana przez pryzmat wyborów.

Ostatnie tygodnie, zwłaszcza 5 i 12 listopada, przekonały nas także, iż w niejednem poszło w naszem społeczeń-

stwie znacznie ku lepszemu. Pocieszającym jest wynik wyborów po miastach i w okolicach bardziej oświeconych, bo stwierdza on, że prądy liberalne, czy antykościelne straciły czy tracą tam grunt, uchodzą na wieś czy na błota i puszcze, by i tam nie najdłużej się utrzymać, bo to, co dzieje się w miastach, jest zapowiedzią wyglądu i wsi za niewiele lat.

Tak lewica jak prawica przekonały się, że duchowieństwo jest w czasie wyborów, zwłaszcza przy obecnej ordynacji wyborczej, czynnikiem ważnym, niemal rozstrzygającym. Chodzi teraz o to, by nasz umiar, nasza godność, właściwe stawianie spraw kościelnych, potęgowanie naszych wpływów zmuszało jak najwięcej stronnictw do należytego respektowania postulatów katolickich w państwie. Czemś naczelnem, główniem, jest to, byśmy walczyli tylko o rzeczy słuszne, byśmy na pierwszy plan wysuwali postulaty ideowe, byśmy nie dążyli do panowania księży, lecz do panowania zasady katolickiej w jej istotnych przejawach.

Nie można pominąć i tego dodatniego objawu, który zdaje się po raz pierwszy wystąpił bardzo silnie, zwłaszcza w miastach, że sfery, które chodzą do kościoła i na kazania, poszły do głosowania jak jeden mąż, że zajmowały się wyborami bardzo gorliwie, oceniając ich wartość i znaczenie. Nie samo z siebie to przyszło, lecz jest owocem wielu nawoływań lat uprzednich i walki z obojętnością katolików na sprawy społeczne i polityczne. Po wsiach było, zdaje mi się, pod tym względem bardzo różnie, przedewszystkiem o tyle, że pchnęło ludzi do głosowanie nawoływanie stronnictw, a mniej nasze.

Obserwowane zjawiska wyborcze nasuwały nam wiele refleksyj. Lokalne warunki wpłynęły na ich liczbę i jakość. Ogólnych, któreby, choć w przybliżenju odnosiły się do wszystkich, można podać niewiele. Musimy w każdym razie na podstawie obecnych doświadczeń rozpocząć intenzywniej zwalczać chciwość, zazdrość, samolubstwo i niesprawiedliwość w sądzeniu, pogłębić poczucie obowiązku wobec państwa, oświecać pod względem politycznym, by wyrwać broń przeciwnikowi, opierającemu się na ciemnocie. Sprawy kościelne najlepiej zabezpieczymy, nie angażując się jako duchowieństwo z a ż a d n e m s t r o n i c t w e m, choćby się ono jak najpiękniej nazywało, lecz pogłębiając świadomość katolicką szerokich sfer, uzasadniając ważność naszych postulatów i ze względu na państwo. Sytuacja o tyle jest jasną i dość łatwą, że to wszystko, co przeciwstawia się kulturalnej opinji polskiej, jest w pierwszym rzędzie żydowskiem, a nadto antyreligijnem i antynarodowem. Jeśli i czynnik chrześcijański dostatecznie silnie wystąpi w tych zapasach o przyszłość państwa, to i jego kierunek wejdzie w skład programu odrodzenia narodowego. Musimy być silni intelektualnie i kulturalnie, musimy umieć zdobyć poszanowanie dla swego stanowiska, a łatwiej nam to będzie osiągnąć, nie dopuszczając do tego, by którekolwiek stronnictwo, choćby najzacniejsze i najpoczciwsze, było uważane za „stronnictwo księży".

Ciąży na nas obecnie obowiązek intenzywnej pracy myślowej, skoordynowanego działania na wspólnej platformie, na której muszą się znaleźć wszyscy bez wyjątku księża, mający poczucie odpowiedzialności za przyszłe losy Kościoła w Polsce, niezależnie od sympatyj, czy zdeklarowanych zapatrywań politycznych. Określenie tej platformy nie jest łatwem, jeśliby się chciało określić ją wyczerpująco. Już obecne uwagi dają choćby kilka mm² tej płaszczyzny. Cele duszpasterskie z wyzyskaniem wszystkich dostępnych nam metod, praca oświatowa i społeczna w naszym duchu, dotarcie z naszemi wydawnictwami dla duchowieństwa do każdego księdza, z naszemi wydawnictwami dla ludu czy inteligencji do każdej rodziny dadzą nam już ogromnie wiele, nie mówiąc o wpływie, jaki uzyskamy przez udział w pracy poszczególnych stronnictw. W przyszłość możemy patrzeć w każdym razie spokojnie. Prąd czasu idzie w naszym kierunku. Obyśmy tylko umieli spuścić nań naszą barkę, wyzyskać i opanować duchowo jego siły.

X. Dr. Teofil Długosz

Nowoczesne metody pracy a praca katolicka.

Katolicy mało zwracali dotąd uwagi na pewien bardzo ważny ruch, którym zajmują się gorliwie od kilku lat sfery przemysłowo handlowe. Znane może są niektórym nazwiska takie, jak Taylor lub Fayol, ale metodami zwiększenia wydajności pracy, które ci uczeni zapoczątkowali, bliżej się nie zajmujemy. Zwraca na to uwagę J. Wilbois w Almanach catholique français pour 1922 (str. 154) i dowodzi, że te metody mogą mieć doniosły wpływ na akcję katolicką i na przyszłość duchową robotników i że właśnie dla tych racyj powinniśmy dokładnie i bacznie śledzić rozwój tych metod.

N a u k a o p r a c y, której początek dali właśnie Taylor, Fayol i inni, zajmuje się pracą ludzką indywidualną i zbiorową i zyskała sobie większe znaczenie niż fizyka lub chemja. Byli jednak tacy, którzy uważali ją za naukę czysto doczesnej, materjalnej wartości. Inni znowu odrzucali ją jako niemoralną, wytykając jej, że zbytnio zmechanizowała ruchy robotnika. Jedno i drugie jest mylne. Nauka ta bowiem dąży do stworzenia nowej techniki pracy, dąży do selekcji zawodowej na zasadach naukowych, która umożliwi postawienie każdego człowieka na miejscu, któremu najlepiej będzie odpowiadał na podstawie swoich zdolności i gdzie praca jego będzie wydatniejsza, przyjemniejsza, lepiej wynagrodzona. Ta nauka o wydajności osobistej jest częścią psychologji praktycznej i dąży do tego, by każdy umiał jak najlepiej wyzyskać swoje zdolności i siły, by zaoszczędził sobie niepotrzebnych ruchów czy prób szukania odpowiedniego zajęcia czy zawodu. Nauka zaś o administracji ogólnej ma ułożyć między członkami pewnego przedsiębiorstwa czy stowarzyszenia, czy biura, stosunki tak, by zapobiedz pomieszaniu kompetencji i władzy i innym nieporozumieniom, które sprawiają, że grupa ludzi o osobistej wielkiej wydajności razem bardzo niewydatnie pracuje.

Nauki te są jeszcze mało rozwinięte, ale zastosowanie ich zasad już wydało wielkie owoce i często o 300% zwiększało produkcję. Stowarzyszenia zawodowe i towarzystwa naukowe amerykańskie, niemieckie, belgijskie i francuskie pracują dalej intenzywnie w tym kierunku, rozumiejąc dobrze doniosłość tej nowej nauki. Dla nas katolików nauki te mają również wielkie znaczenie i mogą wywrzeć wielki w p ł y w n a ż y c i e w e w n ę t r z n e n a s z y c h s t o w a r z y s z e ń.

W naszych towarzystwach, sodalicjach, bractwach, zgromadzeniach tercjarskich i t. p. współpracują dwa czynniki: łaska i dobra wola człowieka. Łaska przychodzi, kiedy i gdzie chce, ale skoro raz ją ktoś otrzymał, obowiązkiem jego względem Boga i bliźniego jest jak najlepiej korzystać z tej łaski podług praw naszej natury. Otóż pod tym względem praca w naszych towarzystwach pozostawia bardzo wiele do życzenia. Za mało się zwracało uwagi na tę stronę materjalną, naturalną organizacyj i ich działalności. Wiemy wprawdzie, że jak w każdej organizacji, tak i tu trzeba mieć budżet, staranną kontrolę, pewien ład i porządek. Mimo to jednak dużo wysiłków i pieniędzy traci się u nas bezowocnie a wydatność pracy nie odpowiada ani tym wysiłkom, ani temu zapałowi i tej ofiarności, jaką się wkłada. Ofiarą tego padają ubodzy, którzy za mało lub nieodpowiednio korzystają z pomocy i dusze, które mało mają pożytku z naszej propagandy i apostolstwa (głoszenie kazań i t. p.) dlatego tylko, bo nie działamy metodycznie i na modłę nowoczesną. Gdybyśmy tylko zastanowili się nad sposobem urządzania naszych nabożeństw, to łatwo każdy widzi, że często wszystko raczej utrudnia, niż ułatwia korzystanie z pracy naszej i z działania łaski. Dlaczego my nie moglibyśmy prowadzić naszych towarzystw dobroczynnych czy ascetycznych i kulturalnych co do ich strony materjalnej wedle zasad, stosowanych w towarzystwach handlu i przemysłu? Im chodzi o zyski materjalne i dla kilku % kupiec czy przemysłowiec stara się wszystko robić jak najmeto-

dyczniej z jak największą wydajnością, a my mamy do prowadzenia sprawę rozdawnictwa ofiar ludzkich i uprzystępniania łaski Bożej! Wszelkie świeckie wykłady publiczne czy uroczystości, wszelka propaganda stara się o to, by słuchaczom i biorącym udział ułatwić korzystanie z danej uroczystości, wysłuchanie wykładu, przeczytanie gazety i t. p. a u nas?? — Jest przypowieść o zmarnowanym talencie, którą można tu zastosować i która w tej sprawie powinna dla nas być wprost rozkazem Jezusa.

Drugi doniosły skutek nauki o nowoczesnej metodzie pracy odnosi się do pracy robotników. Wiek XIX był wiekiem niewolnictwa robotnika, gdyż robotnik pracował za wiele i ze zbyt wielkim wysiłkiem, był niewolnikiem pracy i produkcja była nie zorganizowana. Encyklika robotnicza, która w wielu swoich postulatach nie została jeszcze nawet należycie zrozumiana przez niektórych katolików, którzy (może nieświadomie) zanadto tkwią w kapitalizmie i teorja Taylor-Fayol musi wyzwolić robotnika w kierunku zorganizowania produkcji i metody pracy, tak, by w krótszym czasie i z mniejszym wysiłkiem osiągnąć lepszą wydajność. To właśnie w naszych czasach się odbywa, a ośmiogodzinny dzień pracy to tylko jeden z objawów dążenia do wyzwolenia robotnika. Chodzi o to, by robotnik stał się człowiekiem jak inni, wolnym obywatelem, mającym czas na wykonanie obowiązków religijnych, rodzinnych, państwowych. Zwycięża zasada, że produkcja dla człowieka, nie człowiek dla produkcji. Robotnik dzisiejszy a jeszcze więcej robotnik przyszłości będzie więc miał dużo czasu wolnego i kwestja właśnie dla duszpasterzy i katolików jest ta, jak ten czas wolny zapełnić. Związki zawodowe robotnicze zajęte są walką o interesy materjalne. Kapitaliści również o tem nie myślą, owszem wskazują na nadużycia ośmiogodzinnego dnia pracy i mówią, że robotnik nie wypełnia tych godzin pracą, a czasu wolnego używa na pijaństwo i kłócenie się w zawodówce. Tu właśnie miejsce dla akcji duszpasterskiej, by rozświetlić przekonania u jednych i drugich, wykazać ideę skróconego dnia pracy a zarazem dopomódz do wyzyskania czasu wolnego. Nauczyć tego robotnika, który dotąd był niewolnikiem maszyny i kapitalisty, jak on ma być człowiekiem, jak ma być członkiem rodziny, której dotąd nie znał prawie, jak ma w niedzielę modlić się ten, który cały tydzień przeklinał swój los, jak ma z ludźmi innymi obcować jak równy z równymi, nie na zasadzie walki, ale miłości.

Problem ten uzyskania nowych metod zwiększenia wydajności pracy jest niezwykłej doniosłości dla pracy katolickiej. Szybko zbliżamy się do coraz nowych, może ostatecznych odkryć nauki w jego rozwiązaniu, która tak wiele zmienia i jeszcze więcej zmieni wokoło nas. Starajmy się już teraz stanąć na wysokości wymagań chwili i jak najprędzej i jak najlepiej im odpowiedzieć.

X. M. Rękas.

Dante a sztuka.

(Ikonografja Dantejska).

Przywykliśmy upatrywać wpływy nieśmiertelnej epopeji Dantejskiej we wszystkich niemal tak licznych przedstawieniach Sądu Ostatecznego XIV i XV w. dlatego, iż Sąd Ostateczny łączy się zwykle z przedstawieniem Piekła i Raju, a więc dwóch głównych tematów „Boskiej Komedji". Lecz jak dalece mylne jest to zapatrywanie, wykazuje bliższe zastanowienie się nad wspomnianemi przedstawieniami Trecenta i Quatrocenta i zestawienie ich z poezją Dantejską.

Ani Sąd Ostateczny Giotta, serdecznego przyjaciela i rówieśnika Dantego, w S. Maria della Arena w Padwie, ani sławne freski z Campo Santo w Pizie, po r. 1351 wykonane przez nieznanego artystę a przedstawiające Sąd i Piekło, ani Sąd i Raj Andrea Orcagnii w kaplicy Strozzich w S. Maria Novella we Florencji, również z drugiej połowy XV. w., który kilkakrotnie wspomniany temat poruszał, — nie zostają w bezpośrednim i ścisłym związku z epopeją Dantejską. Opierają się bowiem wszystkie na wyobrażeniach tradycyjnych, sięgających jeszcze XIII w. i łączą się często z przedstawieniami tego tematu „a la maniera greca" wedle słów Vasariego, t. j. na sposób bizantyński pojętemi. U Giotta wszakże ów snop ognia, czy płomień, wychodzący od lewej ręki Chrystusa, jest nawyraźniejszą reminiscencją bizantyńskiego Hadesa, który z paszczy otwartej ogniem zionie. Zatem artyści wspomniani nie korzystali wcale w swoich przedstawieniach Rzeczy Ostatecznych z poezji Dantego, lecz tak oni, jak i Dante, czerpali ze wspólnego źródła wcześniejszego, jakiem była średniowieczna, po części bizantyńska tradycja. Tylko ta jest między Dantem a nimi różnica, że gdy inni współcześni niewiele odstępowali od utartej tradycji, to Dante, wiedziony swoim genjuszem, umiał tradycyjne wyobrażenia przerobić do tego stopnia, że tworom swojej fantazji nadał prawdziwie nowe oryginalne, twórcze piętno.

Jeśli jaki fresk Giotta nosi na sobie ślady wpływu nieśmiertelnej epopeji Dantejskiej, to oprócz portretu przyjaciela w Bargello, o ile autentyczność jego jest pewna, najwięcej jeszcze związku z Dantem zdradzałby alegoryczny obraz Giotta, przedstawiający ubóstwo św. Franciszka w dolnym kościele S. Francesco w Asyżu. Mimowoli przypomina nam się ten ustęp z Raju Dantejskiego, gdzie poeta wkłada w usta św Dominika pochwalne słowa św. patrjarchy i założyciela zakonu Franciszkanów, jak to św. Franciszek poślubił ubogą niewiastę, która była wdową po Chrystusie, a której na imię było La Povertà (Ubóstwo).

Dopiero Piekło Bernarda Orcagnii († 1365), starszego brata Andrzeja, na prawej ścianie kaplicy Strozzich w S. Maria Novella we Florencji zostaje w ścisłym związku z poezją Dantejską Wiernie oddaje ten olbrzymi fresk pojedyncze kręgi Dantejskiego Piekła, jakoteż męki potępionych

Zupełnie podobną do tego fresku jest minjatura do Piekła w kodeksie włoskim Nr. 74 w Bibljotece Narodowej w Paryżu z drugiej połowy Trecenta. Na pierwszy rzut oka wydaje się, jakoby była repliką wspomnianego fresku Bernarda Orcagnii i była wraz z tym freskiem dziełem jednej ręki, a raczej fresk przedstawia się jako minjatura, przeniesiona z pergaminu na świeży tynk ściany kaplicznej

Wogólności więc stwierdzić należy, że wielkie freski XIV (i XV w.), które są przedstawieniem Sądu Ostatecznego, tylko wyjątkowo zostają w związku z epopeją Dantego, z reguły opierają się na tradycji.

Inna rzecz z rękopisami Boskiej Komedji, które potrzebowały ilustracyj. W tych jednak rękopisach, w których najprędzej oczekiwalibyśmy wpływów poezji Dantejskiej, wpływy te zjawiają się dosyć późno.

Kodeks Tempiański I z Bibljoteki Laurencjańskiej we Florencji dopiero w w **1398** przynosi ilustracje do Boskiej Komedji. Widzimy tam n. p. bardzo sympatyczną minjaturę do Raju: Chrystus u góry w mandorli, jak w średniowiecznych Sądach i Glorjach, w otoczeniu Aniołów, obok Niego po lewej Madonna, dalej św. Franciszek i Dominik. Po prawej trzej Święci. U dołu po lewej poeta czytający w swej księdze, do którego zbliża się Beatricze, po prawej zaś trzy Święte z wieńcami na głowie również pospieszają ku niemu.

Mnożą się natomiast ilustrowane, a jak to się w Paryżu mówi wedle słów Oderisiego „iluminowane" kodeksy czyli manuskrypty w w. XV.

Jedną z najlepszych ilustracyj Komedji znajdujemy w kodeksie włoskim z **1444**, który publikował i ópracował Morel, a który figuruje w katalogu Bibljoteki Narodowej w Paryżu pod l. 2017. Nieznany artysta trzyma się ściśle tekstu poezji, prowadząc nas przez wszystkie kręgi Dan-

tejskiego Piekła w ilustracjach pełnych naiwnej jakiejś poezji, a zarazem dowodzących, że artysta już zaczyna szeroko otwierać oczy na otaczającą go naturę. Taki n. p. pochód obłudników w ołowianych płaszczach robi niezapomniane wrażenie.

Jeszcze lepsze i ciekawsze ilustracje znajdują się w manuskrypcie Bibljoteki watykańskiej, pochodzącym z Urbino No 365, wykonane przez nieznanego artystę w l. 1476—1482. Znać w nich wpływ Pierra dei Franceschi w perspektywach głębokich ! Mantegnii w rozwiązywaniu problemów anatomicznych i skrótów perspektywicznych. Każda karta ujęta jest w bardzo malowniczy ale napół średniowieczny jeszcze ornament plecionkowy (Gerimsel). Figuralne zaś i pejsażowe przedstawienia oznaczają już ogromny postęp w porównaniu do kodeksu Morela. Tak n. p. stoimy zachwyceni i uderzeni zarazem doskonałą znajomością perspektywy linearnej i powietrznej w ilustracji, która przedstawia żarłoków w Piekle. Cerber, ów pies trójgłowy, nie jest już straszydłem średniowiecznem z rogami, skrzydłami nietoperza, pazurami i ogonem, lecz wygląda jak go nam przedstawia poezja klasyczna. Widoczny wpływ klasycznej literatury i humanistycznego wykształcenia. Przestrzeń już nie naiwnie jest oddana, ale realnie z głębią idącą gdzieś w nieskończoność. A już wprost zachwycające są postaci żarłoków, malowane anatomicznie poprawnie z doskonałymi skrótami tak, że czaszki w tych skrótach wyglądają jakby były skośne.

Lecz wszystkich tych minjatorów przewyższa bezsprzecznie Boticelli w swoich sławnych rysunkach do Boskiej Komedji. 93 karty pergaminowe z jednej strony zawierają tekst, z drugiej rysunki wykonane metalowym sztyftem, pociągnięte potem piórkiem, częściowo z przed r. 1481, reszta później może aż do r. 1510 Wszystkie rysy charakterystyczne sympatecznego ojca prerafaelityzmu występują w nich w całej pełni. Z jednej strony delikatność, eteryczność, wiotkość niesłychana, przeduchowienie, którem się odznaczają wszystkie jego postaci, zwłaszcza Madonny. Z drugiej silna linja, w którą umie artysta ująć jakby w karby te swoje kreacje, co się wydają jakby były zrobione z mgły i promieni słonecznych. A to się właśnie nadawało do przedstawiania duchów i cieniów, błąkających się i snujących w pozagrobowych światach w czasie mistycznej wędrówkie poety. Z drugiej strony przy całej wiotkości i eteryczności uderza w tych rysunkach to, co tak bardzo wpada w oczy w każdej jego Madonnie t. j. ów głęboki i silny wyraz malujący się w oczach z lekkiem tchnieniem rzewnej jakiejś melancholji i rozmarzenia, który to wyraz był wzorem do naśladowania tak Nazareńczykom niemieckim z klasztoru św. Izydora w Rzymie, jak i angielskjm prerafaelitom. Trudno analizować wszystkie rysunki Boticellowskie do Boskiej Komedji. Jest ich bowiem cały szereg do Piekła, Czyśca i Raju. Na dwa tylko zwrócić chciałbym uwagę, na Gigantów i Beatrycz.

W przejściu do kręgu IX Piekła widzimy olbrzymie postaci, co sterczą jak wieże bolońskie, do połowy zanurzone w lodach Kocytu i skute łańcuchami. Mimo delikatności artysty, gigantyczność olbrzymów, którzy karani są za bunt przeciw Jowiszowi, wychodzi doskonale za pomocą umiejętnego stosowania proporcji olbrzymów i dwóch poetów, a nadto zapomocą groźnego wyrazu Gigantów, szczególnie strasznego Briareusza. W tym arcyciekawym rysunku, w którym oprócz wyrazu linja i li tylko linja odgrywa główną rolę i jest motywem głównym bez plastyki i kolorystyki malarskiej jako sztuka czysto linearna, wrażenie silne robi nadto ta predylekcja, to renesansowe, że się tak wyrażę. rozkochanie się w kształtach nagiego ciała ludzkiego, o pieszczenie się karnacją właściwe wszystkim mistrzom tej epoki, która po długich i mozolnych trudach odkryła nareszcie naturę i odnalazła człowieka.

Nikt też dotychczas tak nie pojął Beatriczy ani nie przedstawił, jak Boticelli. Dotychczasowe przedstawienia tego idealnego tworu fantazji poetycznej Dantego zanadto trąciły ziemią. Pierwszy Boticelli odejmuje mu ciężar, dopiero w pojęciu florenckiego artysty Beatricze jest istotą nadziemską, która ma ciało tylko pozorne, dopiero Boticelli zrobił z niej postać wiotką, eteryczną, taką, jaką przywykliśmy sobie wyobrażać, gdy czytamy Dantego. Taką ona jest, gdy prowadzi poetę w niebieskie sfery Raju.

Gdy wynaleziono sztukę drukarską i kodeks pisany zastąpiony został książką drukowaną, wtedy też miejsce ilustracji minjaturowej zajęła ilustracja drzeworytowa. Pierwsze wydania „Komedji" ozdobione drzeworytami zjawiają się w Wenecji w latach dziewięćdziesiątych XV stulecia. Zostawały one naturalnie pod wpływem minjatur. I na odwrót wpływały na minjatury, które z wynalezieniem druku nie znikły, lecz dalej jeszcze, w XVI w. zwłaszcza, były bardzo uprawiane. Przykład takiej minjatury XVI w., która naśladuje drzeworyty weneckie, mamy w kodeksie plutteńskim paryskiej Bibljoteki Narodowej (Nouvelles Acquisitions françaises) No 4119. Do tłumaczenia francuskiego dodana jest minjatura już w obramieniu renesansowem francuskiem, ale w części figuralnej przypominająca żywo wenecki drzeworyt, przedstawiający scenę, jak to Dantemu Beatricze zapowiada, że Can Grande, pan Werony, udzieli mu w jego tułaczce gościnnego przyjęcia. Jaka ta Beatricze niesympatyczna! Z ziemi jest i z gliny, nic niema w niej duchowego. Tak jak w innym drzeworycie weneckim, w którym cesarz Justynjan opowiada o przewagach cesarskiego orła rzymskiego.

Przeciwieństwem do eterycznego Boticellego jest Signorelli. Postaci jego nie składają się już tylko z linij i oczu, lecz z kości i ciała. A to ciało wygląda jakby ze skóry było odarte dla pokazania całej muszkulatury. Stąd postaci mistrza z Cortony czynią na nas wrażenie jakby wyszły z teatru anatomicznego. Ale jaka za to w nich siła! I Signorelli również należy do tych, którzy „Boską Komedję" ilustrowali. Nie jest to jednak niewolniczy ilustrator litery Dantejskiego poematu, lecz artysta, który ducha tej wspaniałej poezji genjalnie interpretuje. Niezawodnie jest w poezji Dantejskiej, zwłaszcza w Piekle, plastyka ogromna i siła niesłychana. Do oddania tej siły i mocy nikt tak bardzo się nie nadawał jak Signorelli (a potem jeszcze bardziej Michał Anioł, a wreszcie już diminuendo Cornelius).

Lecz upatrywać w Strąceniu Potępionych Signorellego w katedrze w Orvieto wpływy bezpośrednie Dantejskiej poezji uważałbym za przesadę. To jest kreacja, która raczej na Ewangelji Mateusza r. 24 się opiera niż na „Boskiej Komedji". Natomiast niezaprzeczony jest związek między dwoma silnemi duchami w lunecie w Orvieto, gdzie przedstawił Signorelli przedpiekle z owymi nieszczęśliwcami, których dla ich bierności nie chce przyjąć ani Niebo ani Piekło nawet. Kąsani przez muchy i osy, nie mogą znaleść sobie miejsca, roztrącają się wzajemnie, demonstrując w owych aktach doskonale najrozmaitsze ruchy anatomiczne. Tosamo wrażenie robi druga grupa bliżej widza, tyłami do nas obrócona, wygrażająca pięściami niebu, która czeka na łódkę Charona. Zawsze zachwyca nas ten rozmach życiowy ten „élan de la vie", jakby to Bergson powiedział, u wszystkich postaci Signorellego, który to rozpęd życiowy czysto psycho-fizyczny niczem innem nie jest jak tylko wykładnikiem jego anatomicznie silnie zbudowanych ciał.

(C. d. n.)

X. Władysław Żyła.

Wrażenia z podróży do Włoch.

Było to 23 maja 1914 r. Wyjechałem o godz. 2-giej popoł. statkiem z Tryjestu i zbliżałem się do Wenecji. Ostatnie promienie zachodzącego słońca padały na pałac dożów, na kościół św. Marka, na kampanillę i wywoływały na nich bajeczne refleksy. Stałem zapatrzony w to cudne zjawisko,

ale wnet proza życia „przywołała mię do porządku“. Okręt zatrzymał się zdala od brzegu i trzeba było najpierw gondolą dotrzeć do placu św. Marka, a potem szukać mieszkania. Byłem w dość kłopotliwem położeniu, bo znałem zaledwie parę włoskich wyrazów. Na szczęście nawinęli się jacyś Niemcy i z nimi dostałem się do hotelu. Zostawiłem tam rzeczy i zaraz wróciłem na plac św. Marka, rozmyślając, jak sobie tu poradzę, nie znając języka. Nagle słyszę dźwięki polskiej mowy; oglądam się i widzę Ks. Redaktora „Gazety Kościelnej“, który mię wita słowami: „A jak się Ksiądz ma, słyszałem, że Ksiądz jedzie do Rzymu, możeby Ksiądz coś napisał stamtąd do „Gazety Kościelnej“. Przyrzekłem uroczyście, ale zanim się zabrałem do pisania, wybuchła wojna i udaremniła me dobre chęci. Wróciłem obecnie z nowej podróży do Rzymu i przyszedłszy do Ks. Dra Fechnika, to samo usłyszałem wezwanie: „Proszę coś napisać o swojej podróży!“ Pragnę się uiścić z długu przez ten artykuł. Nie będę tu opisywał tego, co można znaleźć w każdym Baedekerze o pięknościach Italji. Chodzi mi głównie o wrażenia, jakich doznałem, zwiedzając Włochy i stykając się z tamtejszymi ludźmi po 7-letniej przerwie.

Z innemi niż przed ośmiu laty uczuciami zbliżałem się do Wenecji dnia 24 sierpnia b. r. Właściwie nie miałem zamiaru się tam zatrzymywać, bo spieszno mi było do Rzymu. Ale na granicy włoskiej, która obecnie znajduje się w Tarvis, spotkałem w pociągu księdza w krótkim surducie i w kaszkiecie: na pierwszy rzut oka poznać Amerykanina. Zaczęliśmy rozmowę po angielsku, ale nie szło, — więc po niemiecku i skończyło się na... polskiem. Był to Ks. S., z polskiej rodziny, ale urodzony i wychowany w Ameryce, obecnie proboszcz angielskiej parafji nad jeziorem Michigan. Zwiedzał Europę, a dowiedziawszy się, że znam Włochy, prosił mię, żebym się z nim zatrzymał w Wenecji i Florencji. Dałem się namówić i odtąd przez dwa tygodnie aż do jego wyjazdu z Rzymu byliśmy nieodłącznymi towarzyszami. Przejeżdżamy przez Pontebbę i dalej wśród gór dzikich, które były świadkami krwawych zapasów między Włochami i Austrją. Moi towarzysze podróży co chwila pokazują różne miejsca i opowiadają, jakich bohaterskich czynów tam dokonali. Z okien pociągu jednak prawie wcale nie widać śladów wojny; gdzieniegdzie tylko jakiś dom na pół zwalony lub jakieś rowy na pół zasypane. Bardzo mizernie wyglądają, wskutek długo trwałej posuchy, tylekroć w komunikatach wymieniane rzeki Tagliamento i Piave.

Do Wenecji dojeżdżałem trochę z niepokojem, bo tyle m się w czasie wojny naczytał o jej zniszczeniu przez austrjackie bomby, że spodziewałem się ją zastać na pół w ruinach. Na szczęście i tu nie zauważyłem śladów wojny, choć dwa dni chodziłem i jeździłem po morskiem mieście: stoi na swojem miejscu cudna jak zawsze Bazylika św. Marka, stoi smukła kampanilla i pałac dożów i mosty wszystkie i pałace przy „Canal grande“; jak dawniej chmury gołębi na placu św. Marka i sklepy pełne bajecznych weneckich wyrobów; tylko „stranierów“ (cudzoziemców) mniej teraz wszędzie i inaczej niż przedtem wyglądają: z całej ich postawy i ruchów łatwo odgadnąć, że ci ludzie nie należą do „obere zehn Tausend“, którzy dawniej zjeżdżali się tutaj ze wszystkich stron świata. Teraz przeważają tu ludzie, w przemyśle i handlu zajęci i jeden język się wśród nich wybija, język angielski. Czasem ma się wrażenie, że się podróżuje po Anglji lub Ameryce: w hotelach, restauracjach, sklepach wszędzie angielskie napisy i cała służba po angielsku mówi; nieraz po włosku się o coś służby pytałem i dostałem angielską odpowiedź. Wszystko poszło w służbę dolara, za który 22 liry płacą; w tym też stosunku (4—5 razy) wszystko podrożało od początku wojny. Marek polskich nigdzie mi nie chciano zmienić, przywiozłem je z powrotem do Polski. Wogóle znać tu wszędzie biedę większą, niż przed wojną; gondolierzy i przekupnie więcej może natrętni, ale pokorniejsi, łatwo się z nimi pogodzić.

Zwiedzamy jeszcze Lido, wyspę uroczą, również nie tkniętą przez wojnę, poczem opuszczamy Wenecję i przez kilkadziesiąt tunelów zdążamy do Florencji. Przyjeżdżamy tam około czwartej zrana, idziemy na poszukiwanie hotelu; na ulicach spokój jeszcze, tylko gdzieś z zaułka słychać przyciszonym głosem wykrzykiwane liczby: sei... cinque... otto!... To starożytna jeszcze, tak we Włoszech popularna gra, zw. „mora“; polega ona na tem, że dwóch ludzi wyrzuca pewną ilość palców prawej ręki i równocześnie wymawiają jakąś liczbę; wygrywa i płaci wino ten, kto zgadnie ile palców razem wyrzucono. Pamiętam tę grę dobrze, wiele mi ona krwi napsuła, nie dozwalając spać przez długie godziny; zaczyna się bowiem dosyć spokojnie, ale zwolna gracze się roznamiętniają, coraz silniejsze słychać głosy, potem formalne ryki i bardzo często dochodzi do walki na noże. To też bardzo się teraz zdziwiłem tą cichą grą we Florencji; dopiero w Rzymie mi rozwiązano zagadkę: w czasie wojny „mora“ została wzbroniona pod surowemi karami.

Florencja — miasto, jak zawsze, śliczne, ciasne, hałaśliwe, na ulicy żyjące. Zwiedziwszy ważniejsze rzeczy, wybieramy się dorożką (mój towarzysz podróży ma w domu 2 automobile, więc zapomniał nieco chodzić!) przez sławne „Viale dei Colli“ do S. Miniato. Przepiękne widoki, ale natura cała jakby zmumizowana. Ziemia popękana, wypalona trawa, grubą warstwą prochu pokryte drzewa szarą przybrały szatę. Od trzech miesięcy — tak nam tłumaczy nasz „vetturino“ — nie było ani kropli deszczu, temperatura stale 30—40 stopni. Więc wkrótce opuszczamy Florencję i jedziemy do wiecznego miasta, które podobno najlepiej ze wszystkich miast świata jest zaopatrzone w wodę.

Pierwsze wrażenie, jakie się odnosi po opuszczeniu stacji, to ogromny ruch na ulicach, bez porównania większy, niż przed wojną. Wzrosła zwłaszcza (przeszło 10-krotnie) liczba automobilów i stały się one prawdziwą plagą Rzymu, zwłaszcza w starych dzielnicach, koło Panteonu, gdzie ulice są bardzo wązkie i często niema chodników. Nieraz z trwogą przyciśnięty do muru, czekałem, słysząc za sobą sapanie tej strasznej maszyny; przejeżdżała z hukiem, ocierając się o mnie; przyznać jednak trzeba, że szoferzy są bardzo wprawni i rzadko słychać o wypadkach. Pozatem Rzym niewielkim uległ przez wojnę zmianom: zawsze dobry, kochany i taki swojski, żeby się tam z ochotą do śmierci zostało i zawsze tak wszystko dziwnie do duszy przemawia i wszystko na sympatyczną całość się składa, nawet i natrętni po ulicach żebracy i ostry zapach ryb i ta bielizna po ulicach się susząca, o której mówi Benson, że jeszcze przy końcu świata, przed samem Rzymu zburzeniem, taksamo będzie wisiała; zdaje mi się jednak, że jej mniej teraz, niż przed wojną się widzi. Forum Trajana i teraz się roi od kotów, ulubieńców rzymskiego ludu.

Głównem mojem w Rzymie zajęciem było odrestaurowanie Hospicjum polskiego, które jeszcze w lutym 1915 r. bardzo ucierpiało wskutek trzęsienia ziemi. Na całe życie mi zostanie żywo w pamięci ta straszna katastrofa, w której około 30 000 ludzi niedaleko Rzymu zginęło; sam Rzym niewiele ucierpiał, choć w nim panika wielka była i ludzie przez wiele dni potem na placach publicznych koczowali; ochroniły go, jak utrzymują, katakomby, które znacznie osłabiły wstrząśnienie. Wiele jednak budynków znacznie zostało uszkodzonych, a między nimi i nasze hospicjum z takim trudem ze składek kupione; pogorszył jeszcze jego stan wylew Tybru, który niedługo potem nastąpił i zalał niższe części miasta tak, jak od 400 lat niebywało. Kuchnia i refektarz hospicjum znalazły się wtedy pod wodą, fundamenty się usunęły. Trzeba więc było choć prowizorycznie wszystko naprawiać. Miałem przytem sposobność zapoznania się z dzisiejszym rzemieślnikiem włoskim. Zdaje mi się, że on o wiele więcej w czasie wojny swych przymiotów stracił, niż nasz rzemieślnik. Zwłaszcza wydajność pracy ogromnie zmalała, nieraz mię do takiej pasji doprowadzała ich ślamazarna robota, że sam się do pracy brałem i za godzinę było gotowe to, na co im dnia lub więcej było potrzeba. Płace robotników bardzo wysokie, jak wszędzie teraz: 25, 30 i więcej lir dziennie; w porównaniu z niemi śmiesznie, jak i u nas, wy-

glądają płace pracowników umysłowych: kilkaset lir na miesiąc. Jeden z moich znajomych, zastępujący znanego w Rzymie adwokata, pobiera za swą pracę, cały dzień zajmującą, 250 lir miesięcznie, tj. trzecią część tego, co średni robotnik przy mniejszych bez porównania trudach, w tym samym czasie zarabia! Pomimo tego, jak i u nas, wszystko się pcha do tej umysłowej pracy!

Ale przejdźmy do bardziej idealnych rzeczy. Ojciec św., jak od wieków, jest duszą Rzymu: wobec niego król włoski jest bardzo niepokaźną figurą, która dziwnie mało interesuje i obcych, a mniej może jeszcze stałych mieszkańców wiecznego miasta. Koło Kwirynału pusto, wojska tylko wiele; koło Watykanu zawsze gwarno; Mons. Caccia, „Mestro di Camera", zasypywany prośbami o audjencje u Ojca św. Przyczynia się do tego zapewne i ogromna dobroć Piusa XI, który nawet na publicznych posłuchaniach, w których nieraz setki ludzi uczestniczy, do każdego z osobna podchodzi, słucha próśb, pyta o różne rzeczy i dla wszystkich znajdzie jakieś dobre, serdeczne słowo. Chętnie widzi u siebie Polaków i dowiaduje się, co u nas słychać; nieraz wobec obcych z wielką miłością o nas opowiada. W Polsce przyswoił sobie też Ojciec św. jedną właściwość, która mu już pewnie na całe życie zostanie: to sposób naszego śpiewu liturgicznego. Polscy księża śpiewają całkiem inaczej niż kapłani innych narodowości, zwłaszcza kapłani włoscy. Pod tym względem w liturgji Ojciec św. całkiem na naszą przeszedł stronę. Byłem w kaplicy Sykstyńskiej na koronacji nowej statuy N. Marji Panny Loretańskiej (poprzednia, jak wiadomo, uległa zniszczeniu wskutek pożaru) i kiedy Papież zaczął śpiewać, miałem wrażenie, że słyszę kogoś z naszych starszych kapłanów we Lwowie.

Po koronacji wystawiono statuę na widok publiczny w bazylice „Maria Maggiore", na wielkim Ołtarzu. Już od tygodnia przygotowywano się tam do tej uroczystości, to też już i tak przepiękna świątynia, wspaniałą przybrała postać: moc światła i kosztownych materji. Tłumy ludu od rana do wieczora odwiedzały umiłowaną Madonnę. Wielkie wrażenie zrobiło na mnie zakończenie tych uroczystości, choć miało ono wybitną cechę „włoskiego nabożeństwa". Ogromna główna nawa, oddzielona od bocznych prześlicznemi kolumnami z białego marmuru, zatłoczona ludźmi; w bocznych nawach spacerują i rozprawiają głośno wierni wszystkich stanów; pod ścianami siedzą matki z brudnemi chusteczkami do nosa na głowach („mulier velato capite") i karmią swe dzieci na rękach; starsza dziatwa bawi się w najlepsze, biegając wśród tłumu. Wszystko to widać nie bardzo detonuje kaznodzieję, jakiegoś Monsignora we fioletach, który z mownicy, niedaleko żłóbka Jezusowego ustawionej, potężnie grzmi i bardzo żywo gestykuluje całem swojem ciałem. Co chwila, ktoś z tłumu, najczęściej dziecko, woła: „Eviva Maria"! Wtedy ten okrzyk cały kościół z zapałem wielokrotnie powtarza, rozlegają się zewsząd okłaski, powiewają chusteczki. Trudno się oprzeć wrażeniu, że to wszystko jednak z serca idzie, że ci ludzie naprawdę Madonnę kochają i że w nich jest ta wiara żywa i mocna, która w Rzymie tyle cudów działa i tyle świętych tworzy. Po kazaniu intonuje celebrans, kardynał Tacci, „Te Deum", które cały kościół naprzemian z chórem śpiewa. Wychodzi potem wspaniała procesja ze statuą czarnej Madonny i okrąża bazylikę do koła. Z wielkim trudem wydostaję się i ja z kościoła, ale zaraz za jego bramą zostaję na bok zepchnięty i ani kroku dalej zrobić nie mogę. Patrzę przed siebie: cały wielki plac przed bazyliką zatłoczony ludźmi, podobnie i we wszystkich przyległych ulicach jedno morze głów ludzkich; chyba pół Rzymu tam się zgromadziło. Pośród tego tłumu, między dwoma szeregami wojska, posuwa się zwolna ze śpiewem procesja, z samych mężczyzn złożona; nad wszystkimi góruje czarna statua, przez różne stany na przemian niesiona. Wszystko śpiewa, woła, bije w dłonie, wywija kapeluszami i chustkami. Po skończonej procesji zwolna tylko, przez jakie pół godziny, toruję sobie drogę wśród tłumu.

Następnego dnia zawieziono statuę automobilem Ojca św. do Loreto. Była to triumfalna podróż. Ze wsi i miasteczek okolicznych wychodziły procesje i witały radośnie Madonnę. W Loreto wspaniałe uroczystości przy udziale wielu dostojników Kościoła i niezliczonych rzesz wiernych z całego kraju. Jak wiadomo, N. Marja Panna z Loreto jest patronką lotników, to też w czasie uroczystości koronacyjnych odbyły się zawody lotnicze. Uczestniczyli w nich jako pasażerowie dwaj purpuraci, co wywołało powszechny entuzjazm wśród widzów. I mówią jeszcze, że Kościół nie idzie z duchem czasu! Po powrocie do Rzymu opowiedzieli kardynałowie Ojcu św. o swoim locie; Pius XI, w swoim czasie jeden z najlepszych alpinistów, wyraził żal, że sam nie mógł brać w tem udziału; na wieść o tem Medjolan postanowił mu sprawić aeroplan.

(Dok. nast.)

X. Stanisław Szurek.

O metodę i program nauczania teologji moralnej.

(Z okazji książki O. Jacka Woronieckiego, p. n. „Metoda i program nauczania teologji moralnej", Lublin 1922).

(Dokończenie.)

Głównem niedomaganiem w sposobie nauczania teologji moralnej jest — zdaniem autora, brak głębszej analizy czynników moralnej działalności człowieka; zarzut ten, podnoszony już często przez moralistów ostatniej doby[1]) zwłaszcza, gdy chodzi o naukę „De principiis", traktowaną po macoszemu, jest najzupełniej usprawiedliwiony. „Principia" traktowało się zwyczajnie pod kątem widzenia Sakramentu Pokuty, jak gdyby one nie były potrzebne do kazań, katechez i wogóle duszpasterstwa, zwłaszcza wśród inteligencji; podstawowe prawdy moralne muszą być głębiej umotywowane, analitycznie pogłębione, jeśli mają trafić ludziom do przekonania. Zdobycze filozofji najnowszej, w szczególności psychologji doświadczalnej powinny stać się własnością teologji moralnej i znaleść zastosowanie w ocenie działalności moralnej człowieka. Takie n. p. przeszkody wolnej woli, zdawkowo traktowane w podręcznikach, wyglądają zupełnie odmiennie, jeśli się je oprze na dorobku psychologicznym; dzieła Hubera, Eschlera, Bessmera[2]) obfitują w drogocenny materjał w tym zakresie i muszą być w nauczaniu uwzględnione, jeśli teologja moralna nie ma rdzewieć i pleśnieć w dawnych komunałach i zasłużyć na zarzut anachronizmu.

Drugi niedostatek teologji moralnej, jak sądzi O. Woroniecki, to jej charakter negatywny i minimalistyczny, czyli ten dawno już kazuistyce zarzucany błąd, że ona jest tylko nauką o obowiązkach i grzechach, a mało zajmuje się chrześcijańskiem życiem cnoty.

Zarzut ten, poniekąd słuszny, da się jednakże usprawiedliwić faktem, że starsze kazuistyczne dzieła i pewna część nowych podręczników były przeznaczone przedewszystkiem dla praktycznego wykształcenia kleru in ordine ad exicpiendas confessiones. A zresztą trudno ascetykę i mistykę jako całość włączać, jak chce autor, do teologji moralnej. Nikt nie przeczy, że dążenie do doskonałości, a nawet nauka o nadzwyczajnych, nadnaturalnych stanach duszy i dziełach łaski Bożej należy w obszerniejszem tego słowa znaczeniu do chrześcijańskiej nauki moralności, jako jej owoc i kwiat, ale z drugiej strony, skoro ascetyka i mistyka w ostatnich latach przekształciły się w odrębne, w ścisły aparat naukowy zaopatrzone dyscypliny, można je zupełnie

---

[1]) Por. A. Müller, Ist die Moraltheologie reformbedürftig? Fulda 1902, str 58.

[2]) Huber, Die Hemnisse der Willensfreiheit, Münster 1904, Bessmer, Die Störungen im Seelenleben, Freiburg 1904, Eschler, Die krankhafte Willensschwäche, Berlin 1904.

śmiało wykładać oddzielnie, temwięcej, że dzieła mistyków średniowiecza i ascetycznych autorów XVI, XVII i XVIII w. zawierają tyle cennego materjału, iż niema mowy o tem, by je traktować wspólnie z moralną, choćby tylko ze względu ekonomji czasu. Oczywistą jest rzeczą, że wykładający ascetykę i mistykę muszą być w ciągłym kontakcie z moralną, dogmatyką i zdrową filozofją, ale to nie wyklucza samodzielności i odgraniczenia tych przedmiotów od teologji moralnej.

I socjologję chce autor włączyć do teologji moralnej, choć praktyka ostatniej doby wykazuje tak na uniwersytetach, jak i w seminarjach osobne wykłady tej tak ważnej gałęzi wiedzy. Socjologja — to dziedzina obszerna, wymagająca osobnego wyszkolenia i znacznej ilości czasu, gdy tymczasem ten „najwłaściwszy" materjał moralnej jest tak olbrzymi, że trudno go nawet w 3 latach wyczerpać. Gdybyśmy tedy socjologję włączyli do moralnej, jak to czynią starsze podręczniki, dostalibyśmy tylko że się tak wyrażę, „okrawki" socjologji, kilka zdawkowych, może już nawet zarzuconych nieraz zdań, w kwestji społecznej, w rodzaju traktatów: De obligationibus statuum particularium, De opificibus i t. d., które nawet u bardzo systematycznych autorów ubliżają powadze teologji moralnej, jeśli się zważy, że kwestja społeczna tak aktualna i paląca tak nędznie i marnie jest obrobioną.

Socjolog natomiast katolicki, badając bieg wypadków społecznych, odnośne stosunki ekonomiczne i polityczne, poświęci im z natury rzeczy więcej uwagi, rozbierze je dokładniej, następnie zaś oceni w świetle niezmiennych praw moralnych tak, że nie będą one oderwane od swej macierzy: etyki społecznej, jeno szerzej i dokładniej wyjaśnione, niżby to się mogło stać w podręcznikach teologji moralnej.

Akcentując metodę spekulatywną, połączoną z umiarkowaną kazuistyką, nie wspomina czcigodny autor zupełnie o metodzie polemicznej, a przecież, naszem zdaniem, rozprawienie się z przeciwnikami zasad i podstaw moralności katolickiej, należy nietylko do całokształtu teologji moralnej, ale jest też niezbędne ze względu na wykształcenie kleru i jego późniejszą, praktyczną działalność. — Przeciwnicy moralności chrześcijańskiej, cały szereg systemów etyki niezależnej — to nie drobnostka dla nas walczących w obronie świętych i niewzruszonych praw moralnych; oni zaopatrzyli swe systemy w cały szereg argumentów ułudnych, sofizmatów, zaprzęgnęli w swą służbę wytrawne siły naukowe tak, że teologja moralna musi postawić gotowe już przeciw-argmenty i uzbroić w nie przyszłych kapłanów, by potem nie stanęli do walki z próżnemi rękoma i kapitulowali przy pierwszem lepszem starciu poglądów moralnych. Nasza etyka jest chociaż słodkiem, ale zawsze jarzmem, ciężarem i brzemieniem, zwłaszcza w stosunku do liberalnych systemów etycznych ostatniej doby, stąd przyjęcie jej i praktyczne zastosowanie natrafia na cały szereg trudności, podczas gdy zasady etyki nowożytnej, głosząc swobodę i schlebiając namiętnościom, łatwiej przemawiają do przekonania; słuszną zatem jest rzeczą, byśmy rozprawiając się należycie i gruntownie z przeciwnikami, tem samem silniej ugruntowali i umotywowali bezwzględne nakazy moralne etyki katolickiej.

Rozwijając program teologji moralnej, rozkłada go autor na 4 lata (suponując pięcioletnie studjum teologji wogóle) i proponuje, by na uniwersytetach podstawą wykładu była II część Summy św. Tomasza, uzupełniana objaśnieniami profesora; w seminarjach natomiast należy — zdaniem O. Woronieckiego — oprzeć wykład na zwięzłym podręczniku, w rodzaju teologji moralnej Mausbacha. Pierwsza propozycja nie jest jednakże — naszem zdaniem — zbyt szczęśliwą dziś, gdy tak uniwersytety, jak i seminarja kształcą przedewszystkiem zawodowych duszpasterzy, którzy muszą otrzymać krótki a jędrny wykład prawd moralnych, w organicznym związku i systemie; Summa nadaje się więcej dla tych, którzy znają już system etyki katolickiej, chcą go natomiast spekulatywnie pogłębić.

Rozpoczynając na drugim roku — jak chce autor — wykład Summy, stajemy przed słuchaczami nie przygotowanymi, nie wnikającymi w ducha spekulacji teologicznej i w głęboką filozofję Doktora Anielskiego; wątpię tedy, czy w tym wypadku korzystniejszą będzie rzeczą zarzucić obecny system i iść za projektem O. Woronieckiego. Dzisiejszy system wykładania moralnej na uniwersytetach polega na tem, że wykładający, przerobiwszy odpowiednią partję na tle ścisłego podręcznika, pogłębia ją na podstawie Summy na t. z. seminarjach, utworzonych przy wszystkich prawie katedrach uniwersyteckich. W pierwszym tedy rzędzie systematyczny podręcznik, a jako uzupełnienie i pogłębienie wyłożonego już traktatu objaśnienie i przedyskutowanie, oczywiście pod kierunkiem profesora, odpowiedniego artykułu czy kwestji ze Summy św. Tomasza.

Chociaż nie godzimy się na wszystkie wywody czcig. autora, to jednakże z uznaniem musimy podnieść jego pracę raz dlatego, że porusza tak ważny i aktualny temat, dając hasło do dyskusji, a powtóre i z tego względu, że daje obfity materjał do orjentacji w kwestji metody nauczania, głęboko przemyślany i umotywowany. Nie wątpimy, że praca O. Woronieckiego stanie się cennym nabytkiem w metodologji nauk moralnych, w każdym zaś wypadku poważnem źródłem dla każdego, kto w tej dziedzinie zechce pracować.

Lwów, 5 listopada 1922.

Ks. Dr. Zygmunt Kozubski.

Nowe książki.

X. Dr. Stanisław Żukowski. Wykład perykop Ewangelij niedzielnych dla użytku katechetów i kaznodziei. Część I. Lwów 1923 (książka jednak wyszła w r. b.) Stron 127.

Są to wyjaśnienia perykop krótkie, wolne od niepotrzebnego balastu naukowego, ale treściwe, praktyczne i pouczające. Część pierwsza obejmuje okres roku kościelnego od I niedzieli Adwentu do VI niedz. po Trzech Królach. Czyta się ten wykład z pożytkiem i przyjemnością, — nie wątpimy też, że znajdzie wielu czytelników, zwłaszcza wśród młodszego kleru. Zdziwiło nas tylko, że czcig. Autor nie uwzględnił wcale na str. 86 przekładu X. Szczepańskiego, który naszem (i wielu innych) zdaniem lepiej tu spolszczył słowa Zbawiciela niż Wujek. Tekst Wujka (i Wulgaty): „Co mnie i tobie niewiasto? Jeszcze nie przyszła godzina moja" — zdaje się odrzucać prośbę Matki B. i zawierać dla Niej naganę, przez co nasuwa trudność egzegetyczną. Trudność ta odpadnie, gdy przyjmie się przekład X. Szczepańskiego: „Mnie to zostaw Niewiasto; nie nadeszłaż jeszcze godzina moja?" Taką interpretację przyjmuje także Fr. Zorell „Novi Testamenti Lexicon Graecum" Parisils 1911, str. 569 s. v. τίς: „per formulas τί ἐμοὶ καὶ σοί;... solent Hebraei et Graeci alqum rogare, ne se suis rebus intermisceat, ut se solos agere sinat, na co przytacza liczne przykłady.[1]) Tłumaczenie to zgadza się też lepiej z kontekstem; widocznie bowiem Marja zrozumiała odpowiedź Boskiego Syna tak, że On chce uczynić cud, o który Go prosiła i dlatego rzekła do sług: „Zróbcie, cokolwiek wam poleci".

Prawda, że jeszcze nie wszędzie pozwala się na czytanie perykop w nowym przekładzie z ambony, ale sądzimy, że można go uwzględniać przynajmniej tam, gdzie słowa Wujka utrudniają egzegezę. *X. P.*

Ks. Jerzy Schurhammer T. J. Obrazki z życia św. Franciszka Ksawerego. Spolszczył Ks. S. B. T. J. Kraków 1922. Wydawn. Księży Jezuitów. Str. 55.

[1]) Cyt. w rozprawie prof. Sajdaka p. n. „Nowe tłumaczenie Pisma św. i jego stosunek do Wujka" w Mies. Kat. i Wych. z r. 1918 str. 124.

Książeczka ta zawiera 24 opowiadań krótkich i budujących, a napisanych doskonale i ozdobionych tyluż rysunkami R. E. Keplera. Nadaje się bardzo dobrze na lekturę dla ludu i dla młodzieży. Przekład polski jest także wyborny.

Ks. Józef Stachyrak. Najświętsza Rodzina. Książka do nabożeństwa dla wszystkich stanów. Ósme wydanie na nowo opracowane i powiększone. Przemyśl 1922. Nakładem Zgrom. św. Michała. Str. 532.

Wyborna ta książka, ciesząca się już sławą ustaloną i polecona przez czterech biskupów, pojawiła się niedawno w nowem, bardzo starannem wydaniu. Nabyć ją można u Zgrom. św. Michała w Miejscu Piastowem, oprawną w płótno, półskórek lub całą skórę. *P.*

Stanisław Witkiewicz. Chrześcijaństwo i katechizm. Lwów-Warszawa. Książnica polska T-wa naucz. szkół wyższych. 1920. Stron 111 w 8-ce.

O rosprawie tej była już wzmianka w „Gaz. Kośc." (w r. 1920 str. 249), ale sądzimy, że ona wymaga jeszcze dokładniejazego streszczenia i oświetlenia, bo napisał ją autor bardzo utalentowany i wychwalany za życia i po śmierci w wielu naszych pismach perjodycznych, a wydało ją (niestety!) poważne Tow. naucz. szk. wyższych. A dalej jest ona wprawdzie pełna błędów i niedorzeczności, ale argumentacja jej jest tego rodzaju, że może podkopać wiarę wielu czytelników, którzy nie zapoznali się głębiej z nauką katolicką.

Witkiewicz nie występuje nigdzie otwarcie jako przeciwnik chrześcijaństwa, — on raczej wmawia w czytelników i w samego siebie, że on lepiej rozumie naukę Chrystusową niż Kościół i jemu przypadło zadanie obrony religji prawdziwej przeciw teologji katolickiej, a w szczególności przeciw autorom dogmatyk i katechizmów (z których jednak zna tylko Deharbe'a — Morawskiego i tzw. „austrjacki", p. str. 41).

Według niego katechizm jest w ciągłej sprzeczności z logiką (własnym rozumowaniom swoim przypisywał Witkiewicz niewzruszoną logiczność i konsekwencją filozoficzną, — chociaż filozofja była jego stroną najsłabszą; nawet gdy pisał o malarstwie, kładł ciągle nacisk na „logikę" światłocienia), — nauki tegoż nie dadzą się w żaden sposób pogodzić ze sobą. Nawet „koncepcje dziecka, gdyby ono szukało samodzielnie wyjaśnienia bytu świata i bytu własnego, byłyby inne, niż w zawiłym systemie metafizyczno-etycznym katechizmu, z pewnością byłyby logiczniejsze, a temsamem łatwiejby się łączyły z umysłem i trwalejby się go trzymały... Katechizm jest to zbiór twierdzeń, wzajemnie się wykluczających, sprzecznych do ostatka, chwiejnych i nieokreślonych w ostatecznych wnioskach... Niema w nim ani jednego — Tak i ani jednego — Nie. Każde twierdzenie znajduje w nim samym odpowiednie zaprzeczenie" itd. (str. 42—43).

Wyrok ten zdumiewa swoją zuchwałością — zdumiewa też jego uzasadnienie: i tak twierdzi Witkiewicz, że wszechmoc Boża i wolna wola ludzka są to „zasady, wykluczające się wzajemnie", że też „zestawienie ich prowadzi w katechizmie do zupełnego ich unicestwienia(!), a przynajmniej do unicestwienia wszechmocy, której wolna wola ludzka, przy pomocy szatana, stawia tak skuteczny opór, że wszechmocy pozostaje tylko jedno zadosyćuczynienie: zemsta — to jest kara, za dokonane wbrew jej woli, postępki. Skoro istnieje kara, musi być i nagroda, lecz obie one, w etycznym układzie katechizmu, nie mają żadnej zasadniczej podstawy, gdyż wola, która niemi rozporządza, opiera się na dwóch, absolutnie wzajemnie się niszczących pojęciach: sprawiedliwości i miłosierdziu. Sprawiedliwość każe dać każdemu tyle, co mu się należy według zasługi, miłosierdzie nie uznaje zasługi, jest wyższą od sprawiedliwości zasadą i daje każdemu nie podług jego zasługi i winy, lecz podług miłości tego, który daje. I oto etyka katechizmu na tych sprzecznościach rozdziera się na strzępy, tak samo, jak jego metafizyka rozsypuje się w gruzy wskutek sprzeczności między Wszechmocą i wolną wolą. Miłosierdzie, miłosierdzie Boga, którego wszystkie przymioty są absolutne, musiałoby całkiem wykluczyć pojęcie kary i nagrody, gdyż absolutne miłosierdzie czyli absolutna miłość musi stać ponad złem i dobrem" itd. (Str. 44).

Stara to piosnka, śpiewana w obozie nieprzyjaciół religji objawionej: nie chcą oni wierzyć w sprawiedliwość Bożą, bo nie chcą wierzyć w istnienie piekła; — Bóg powinien według nich wszystko i wszystkim przebaczać, nawet Neronom i carom! Odrzucając zaś te rzekome sprzeczności katechizmu, odrzuca autor tem samem i całą religję objawioną i naukę Chrystusową, zawartą w Ewangeljach, którą w skróceniu podaje katechizm; — zawsze jednak mówi tylko o katechizmie, nie chcąc przyznać po prostu i otwarcie, że jego zarzuty godzą i w naukę Założyciela Kościoła.[1]) A wszakże wrodzone każdemu poczucie sprawiedliwości mówi i poganom, że występkowi należy się kara, że jednak szczera skrucha i poprawa może grzesznikowi wyjednać przebaczenie.

Błędem jest dalej oczywistym twierdzenie, że wszechmoc Boża i wolna wola ludzka „wykluczają się wzajemnie": z tego, że wola ludzka może oprzeć się woli Stwórcy, nie wynika bynajmniej, iż Bóg nie może dokonać wszystkiego, czego chce i co nie jest samo w sobie niemożliwe.

Całe wogóle nauczanie katechizmu o Bogu i Jego przymiotach jest według autora niedorzeczne: „Bóg z Katechizmu... nie wywołuje zachwytu ani uwielbienia, nie budzi miłości ani wdzięczności; nie wzbudza również ufności w swoją dobroć ani miłosierdzie, ani sprawiedliwość; nie zdumiewa wszechmocą ani mądrością; — jedyne uczucie, któreby mógł obudzić, gdyby nie był spowity w taki mrok sprzeczności, byłoby uczucie strachu, gdyż, cokolwiek się dzieje za życia i potem..., na końcu czeka sąd i kara" (str. 47). Według katechizmu „Bóg stworzył człowieka tylko dla siebie, dla własnej potrzeby(?!)... na swoją chwałę"... czyli „z woli posięścia (sic!) chwały, posięścia świadomości swojej wyższości nad kimś, kto wyższość tę i swoją niższość uzna i chwałę Bogu odda. Taki jest konieczny, logiczny wniosek, który musi wyprowadzić każdy nienadwerężony umysł i wniosek ten wygrzebuje przepaść pomiędzy duszą dziecka a Bogiem."(!)

Innemi słowy, katechizm ma przypisywać Stwórcy pobudki nizkie, samolubne, jakie ściągają na ludzi słuszną naganę: próżność, pychę itd. — Że zaś ten Bóg nie „opiekuje się dobrotliwie wszystkiem, co stworzył", tego uczą każdego z nas wszystkie okropności świata widzialnego (str. 63 nn.), na którym „zło jest wolne i przedsiębiorcze — dobro jest skrępowane i zależne od łaski Boskiej i złe duchy, mogąc bezpośrednio wyzyskać pożądliwość i skłonność do złego, tkwiącą w ludzkiej naturze — przeciwstawiają się Wszechmocy Boskiej, Aniołom i pokonują ich... życie jest pełne zbrodni... dlatego, że Bóg „złe dopuszcza, ponieważ stworzył człowieka wolnym i że nawet ze złego dobre skutki wyprowadza". Wiemy już, co ta odpowiedź warta i czy może zadowalniać, czy może zatrzymać myśl, która z tego zamętu sprzeczności chce wydobyć prostą, prawą i rostrzygającą wątpliwości odpowiedź, myśl, która szuka prawdy prostej i jasnej — jedynej, jaką prawda być może".

Temi słowy kończy Witkiewicz swoją krytykę katechizmu, zamilczając jednak, jaką to „prawdę" o Bogu, o początku i celu świata rozum jego odkrył? Nie wypowiada on nigdzie wyraźnie, jak sam pojmuje religję, ale z tego, co pisze, widać, że zdaniem jego „religijnym" jest człowiek, który żywo odczuwa potrzebę jakiegoś ideału, który miłuje prawdę, dobro i piękno, którego dusza tęskni do czegoś, wznoszącego się ponad prozę życia codziennego. Według niego „wszystkie umysły nowożytne, to znaczy, idące przed ludzkością i zwiastujące przyszłość", (do których oczywiście on sam się zaliczał) „odpadają od istniejących i zorganizowanych w ko-

[1]) On nie wdaje się w żadne „dysputy dogmatyczne" i mówi tylko „O sposobach nauczania religji" (str. 9).

ścioły wyznań i albo szukają zaspokojenia swego religijnego ducha w jakiejś poezji mistycznej, albo też przestają używać „hipotezy“ religijnej przy rozwiązywaniu tajemniczych zagadnień myśli, nie znajdując w niej odpowiedzi na wszystkie bolesne d l a c z e g o? wszechbytu“ (str. 8). Czytamy, że religja ma być „treścią życia“ (str. 9) ale nie dowiadujemy się, jakiego rodzaju ma być ta treść, jakie zasady i obowiązki mają do niej należeć? — Czytamy, że „objaśnienie zagadki bytu i skupienie największych porywów czucia, największej miłości, największej czci, największego strachu nawet, to są pierwiastki religijnego ducha“ (str. 10). Ale to są mgliste frazesy, nic właściwie nie mówiące; — zagadka bytu pozostała według niego n i e wyjaśnioną, a pojęcie Boga, jakie znalazł w teologji katolickiej, odrzuca on jako zupełnie błędne i pełne sprzeczności, nie dodaje zaś własnego określenia tego pojęcia. Nie więcej można wyczytać z innego podobnego frazesu: „Religja musi być stanem duszy, musi być żywą siłą życia, w której k a ż d a m y ś l j e s t u c z u c i e m, a k a ż d e u c z u c i e m y ś l ą“ (?! str. 15). Uczucie ma być „istotną podstawą“ dogmatów, których zatem nie można uzasadniać rozumowo (str. 20); — gdyby jednak tak było, nie mógłby nigdy człowiek wierzący zdać sobie i drugim sprawy z tego, w co wierzy i dlaczego wierzy.

U samego zresztą Witkiewicza godziło się to „uczucie religijne“ doskonale z sympatją dla okrutników i morderców, którzy krwawo zapisali swoje imiona w dziejach „wielkiej rewolucji“; uczucie kazało mu ubolewać nad tem, że i Polska nie miała swoich D a n t o n ó w ![1]) Godziło się też z zasadą, którą uważał za pewnik, że artysta nie powinien w tworzeniu swojem kierować się żadną wyższą ideą, żadnymi w z g l ę d a m i n a o b o w i ą z k i m o r a l n e i s p o ł e c z n e, że powinien wypowiadać tylko to, co czuje w danej chwili, „c y n i c z n i e i naiwnie, jak mówi Nietzsche“ [2]) — Była to zaiste „religijność“ dziwnego autoramentu!

X. P.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Administrator apostolski dla polskiej części Górnego Śląska. Stolica Apostolska zamianowała Administratora polskiej części Górnego Śląska w osobie X. Dr. A u g u s t y n a H l o n d a. Należy to uważać za pierwszy krok do utworzenia samodzielnej djecezji śląskiej. Nominat bowiem otrzymuje zupełną jurysdykcję nad polską częścią Górnego Śląska, która w ten sposób zrywa więzy, jakie ją dotąd łączyły z biskupstwem wrocławskiem. X. Dr. Hlond urodził się w r. 1883 w Słupnej pod Mysłowicami i pochodzi z rodziny polskiej. Studja gimnazjalne odbył w zakładzie X. Bosco w Turynie; następnie ukończył filozofję w Rzymie ze stopniem doktorskim, w r. 1903 otrzymał w Krakowie święcenia kapłańskie, i objął kierownictwo zakładu Lubomirskich przy ulicy Rakowickiej. Po pewnym czasie powierzono mu zakład salezjański w Wiedniu, a od niedawna godność prowincjała na Austrję, Niemcy, Bawarję i zach. Niemcy. Wtedy to zetknął się kilka razy z Papieżem Piusem XI, ówczesnym Nuncjuszem, który bywał jego częstym gościem w przejeździe przez Wiedeń. Obecnie, oceniając jego wybitne zdolności, zamianował go Papież Administratorem Apostolskim Górnego Śląska; należy się spodziewać, że ta godność oznacza krok do wyższej, biskupiej. W ten sposób stało się zadość życzeniom ludności polskiej Górn. Śląska. Wiadomość o tej nominacji przyjęli z wielkiem zadowoleniem księża, którzy znają dotychczasową zbożną działalność X. Dra Hlonda.

Z Warszawy. Na w y d z i a l e t e o l o g i c z n y m w tym roku istnieje uruchomionych 19 katedr, z tych jest 10 obsadzonych przez stałych profesorów; nadto jest 2 docentów i 2 zastępców profesorów, a mianowicie: 1) katedra egzegezy N. Testamentu, X. pr. Wł. Szczepański; 2) katedra egzegezy St. Testamentu X. pr. W. Michalski; 3) katedra filologji biblijnej, pr. nadzwyczajny, X. Jan Stawarczyk; 4) katedra realiów biblijnych doc. X. Dr. Fr. Rosłaniec; 5) katedra asyrjologji zastępca pr. X. Bromski; 6) katedra apologetyki: doc. X. W Kwiatkowskt; 7) katedra teologji pozytywnej, X. pr. Al. Bukowski; 8) katedra historji Kościoła polskiego X. pr. Władysław Szcześniak; 9) katedra archeologji i sztuki kościelnej, X pr. P. Styger; 10) katedra teologji moralnej i etyki, X. pr. Fr. Jehliczka; 11) katedra moralnej specjalnej i pastoralnej X dr. Śmieśniewicz, zastępca prof.; 12) katedra homiletyki, X. pr. A. Szlagowski; 13) katedra prawa kanonicznego X. pr. I. Grabowski; 14) katedra filozofji chrześcijańskiej i psychologji X. pr. St. Kobyłecki. Nadto niektórzy profesorowie prowadzą zlecone wykłady z przedmiotów, które stałych profesorów nie mają. I tak 15) z palestynologji X. pr. W. Szczepański; 16) z teologji spekulatywnej, X. pr. Bukowski; 17) z historji Kościoła powszechnego X. pr. Szcześniak; 18) z socjologji X. pr. Fr. Jehliczka; 19) z patrologji X. pr. A. Szlagowski; 20) z historji filozofji i metafizyki X. pr. St. Kobyłecki.

Wielkiem dobrodziejstwem dla wydziału i jego słuchaczy jest k o n w i k t t e o l o g i c z n y, który zawdzięcza XX. Misjonarzom. Są tam bogate bibljoteki, sale dla seminarjów czyli pracowni naukowych i 60 pokoji na mieszkania dla XX. studentów, tych jednak jest dotąd jeszcze stosunkowo bardzo niewielu, bo 62-ch w tym roku, a niema, jak się zdaje, widoków, że ta ilość powiększy się znacznie w najbliższych latach.

Zwycięstwo faszystów we Włoszech. Niespodziewane do niedawna dojście do władzy Mussoliniego zdaje się zapowiadać zwrot bardzo pomyślny w dziejach Italji zjednoczonej. Faszyści wystąpili z wielką energją i zapałem młodzieńczym do walki z socjalizmem, komunizmem i innymi wrogami ich ojczyzny. Dopuszczali się przytem nieraz gwałtów i doprowadzali do rozlewu krwi, czego im nie możemy pochwalić, ale z drugiej strony zyskiwali sobie sympatję tych, którzy szukają jakichś środków zaradczych na widok niebezpieczeństw, grożących dzisiejszemu społeczeństwu. W pierwszej swej mowie programowej oświadczył Mussolini, że leży mu na sercu sprawa religji, a w szczególności katolickiej. Wydał też już rozporządzenie, które musiało nie podobać się bardzo wolnomularzom i socjalistom, bo nakazuje zawiesić we wszystkich izbach szkolnych k r z y ż e. Hasłem jego jest: „Bóg i Ojczyzna“, praca, porządek, dyscyplina, sumienna troska o dobro kraju. Czy jednak program ten da się przeprowadzić, okaże dopiero przyszłość.

Z poezji modernistycznej.

T a d e u s z M i c i ń s k i takim nas obdarza zapasem klejnotów:

„Z czarnych krzyształów mój pałac — w gryfy lemury [rznięty —
Gwiazdy przez witraż świecą zamarznięty.
Perły posadzką, w kolorach namioty —
Huczą nademną gdzieś przeznaczeń młoty.
Myśl moja rzeźbi posągowe mary
(Na Jowiszowem czole stygmat kary).

---

[1]) Por. jego książkę o M a t e j c e, wydaną przez Tow. naucz. szk. wyż. we Lwowie w r. 1909 str. 250. Książkę tę ocenilismy w „Gaz. Kość.“ w tym samym roku na str. 163 nn. i 178 n.

[2]) Tamże str. 34.

Po salach błądzę, jako lew skrzydlaty,
(Echem grobowem wtórzą kazamaty).
W melodjach ciszy nie zadrga zasłona
(W trumnie z ołowiu ktoś jęczy i kona).
Mrok zimny pluszcze w spiżowe podwoje
(Gwiazdy migocą w zmarłe serce moje)."

Cudowna piękność tych wierszy wprawia w zachwyt Feldmann'a, który tak wyraża się o niej:[1]) „Każde słowo — rzeźba artystyczna, każdy obraz — dreszcz wewnętrzny, każde uczucie — przepaść!" itd. A tymczasem jest to tylko szumna, pretensjonalna frazeologja, w której niema dobrego związku, w której niejedną myśl nasunęły widocznie rymy. Na jakiejże podstawie porównywa się autor z „lwem skrzydlatym", który błądzi po salach pałacu i czemu krokom jego mają „wtórzyć kazamaty echem grobowem"? Jakiż sens ma frazes: „W melodjach ciszy nie zadrga zasłona" i co mogło przywieść na myśl poecie „trumnę z ołowiu" i konającego w niej człowieka?

Gdzieindziej znowu pisze ten sam autor:

„Nie pragnę słońca — osamotniony —
Z krzykiem złowieszczym upiornych snów,
Bogowie mogił, jam był pojony
Jak wy — ambrozją i mlekiem lwów"(?!)
„Gwiazdy wydały nademną sąd:
Wieczną jest ciemność, wiecznym jest błąd.
— Ty budowniku nadgwiezdnych wież
Będziesz się tułał jak dziki zwierz,
Zapadnie każdy pod tobą ląd —
Wśród ognia zmarzniesz — stlisz się jak lont.
A gwiazdom odparł królewski duch:
Wam przeznaczono okrężny ruch,
Mojej wolności dowodem błąd,
Serce me dźwiga w głębinach ląd.
Poszumy płaczą mogilnych drzew,
Lecz w barce życia płynie mój śpiew.
Ja budowniczy nadgwiezdnych miast
Szydzę z rozpaczy gasnących gwiazd.
. . . .
„Oto wyschły w posusze las dębów
Zapalę —
I tryśnie z ożywionych zrębów
Ognia zachwyt i nie żale —
Kto się dotknie mego mroku" (jakiego mroku? — przecież las płonie!)
Wzleci jak perkun w obłoku(!)
Ja nie będę wam grał pieśni smutnej,
O Cienie!
Lecz dam tryumf dumny i okrutny,
Co zawalił błękitów sklepienie
I druzgoce
Waszych bogów tęskniących bezmoce.
I powiodę was w kraj zórz polarnych
Z dźwiękiem rogów —
I zakrwawię u kamieni ofiarnych —
I przekuję was ludzi w półbogów —
Dziką pieśnią serca wam zachwycę!"

Prawdziwie litość budzą te zapowiedzi, świadczące o manji wielkości, przypisującej sobie jakąś potęgę nadludzką, — kiedy się czyta o tym „perkunie w obłoku, o tym tryumfie nad bogami itd. — a przecież są literaci (jak np. Feldmann l. c. str. 464), którzy odmawiają na serjo krytykom, nie zachwycającym się wierszami tego rodzaju, wszelkiej zdolności do odczuwania prawdziwego piękna! *P.*



[1]) „Współczesna literatura polska" (Warszawa 1903, str. 454.

Wiadomości diecezjalne.

Archid. warszawska.

Mianowani XX. Kaz. Weber, wik. w Mińsku Mazowieckim, prefektem szkół w Otwocku; — Romuald Cichocki, wik. par. św. Aleksandra, kapelanem szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie.

Urlop dla studjów teolog. w Warszawie otrzymał X. Fr. Barański, wik. par. Przybyszew.

Archidiecezja lwowska ob. łać.

Instytuowani XX. Michał Kaspruk, eksp. w Sorocku, na prob. w Beremianach; Jan Krokowski, adm. w Zborowie, na prob. tamże; Antoni Szwarc, eksp. w Turówce, na prob. w Kuropatnikach.

Przeniesieni XX; Karol Rydzik eks. z Ponikwy na administrację do Malechowa; Henryk Gachowski, adm. w Pieniakach, na ekspozyturę w Ponikwie z zatrzymaniem administracji w Pieniakach; Stanisław Golatowski, kooper. w Buczaczu, na ekspozyturę w Szezytowcach; Piotr Willamowicz, eksp. w Szwejkowie, do Kobyłowłok.

Zwolniony z obowiązków w diecezji X. Dr. Józef Biela, ekspozyt w Podhajczykach.

Diec. krakowska.

Urlop dla dalszych studjów otrzymał X. Franciszek Mirek, red. „Ludu Katol.". zastępstwo w redakcji objął X. Józef Mazanek.

Zmarł X. Józef Zemanek, prob. w Lipowej, ur. r. 1850, w. 1876. *R. i p.*

Diec. lubelska.

Wrócił z Rosji X. dr. Jan Szpringer, były proboszcz abramowicki, po 7 letnim pobycie na Syberji.

Na wyd. „Gaz. Kośc.": złożyli P. T. Księża; Edward Tabaczkowski (z Tłumacza) 22000 m. Józef Szewczyk (z Tymbarku) 1200 m. Andrzej Biliński (z Bochni) 3600 m. Józef Wawszczak (z Jaryczowa) 3600 m. Piotr Nowak (ze Lwowa) 900 m. Wład. Trytek z (Korzennej) 2600 m. Henayk Domino (z Laszek) 300 m. Jakób Opoka (z Padwi) 600 m. Antoni Siuda (z Raciborowic) 170 m. Skwirut (z Zassowa) 1400 m. Grudziński (z Rajczy) 300 m. Peciak (ze Stanisławowa) 1600 m. Frączkiewicz (z Tarnowa) 600 m. Teodor Magiera (ze Szczyrzyca) 400 m. Naddatki: Tadeusz Srokowski (z Podgórza) 2000 m. Fr. Sroka (z Myślenic) 250 w. Józef Tymoczko (z Uhnowa) 300 m. Jan Wądolny (z Kęt) 600 m. Dr. Widacki (z Zabojek) 250 m. Ant. Wilczkiewicz (z Bochni) 300 m. Fr. Słowiński (z Dąbrowy) 1064 m. Dr. Fel. Bytomski (z Zamościa) 500 m. (C. d. n.)

Na fundusz pras. Steiner (z Rodatycz) 600 m. Jan Kijas (ze Skolego) 1700 m. Jan Smołka (z Gdowa) 550 m. Bolesław Teśniarz (z Medenic) 265 m.

Na odbudowę domów Księży w Worochcie X. Ant. Linda (z Raciborowic) 1000 m.

Od Redakcji.

Prosimy bardzo o rychłe wyrównanie zaległości o łaskawe ofiary na wydawn. „Gaz. Kośc.", bo teraz kosztuje już nas 1 nr. **276.000** (w styczniu b. r. kosztował 50.000) a ostatnie będą jeszcze droższe!

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!

I. Ukazał się co dopiero X. N. Cieszyńskiego zbiór kazań kwadransowych na niedziele całego roku

p. t.

MIECZ DUCHA

str. 393. — Cena 2400 Mp.

II. Poleca się także zbiór kaz. nar. tegoż autora p. t.

LUD JAKO LEW

Cena 1200 Mp.

Zamawiać należy u autora, Poznań, Kościół P. Jezusa.

Zakład Wychowawczy w Miejscu Piastowem

poleca cieszące się ustaloną sławą, ułożone przez Ks. Infułata **Stachyraka** książeczki do nabożeństwa pod tytułem „Najświętsza Rodzina“ i „Jezus Marya“, oprawne: w płótno, półskórek i całą skórę; brzegi czerwone lub złocone.

Ponadto w ślusarni tegoż Zakładu wyrabia się:

1. Krzyże cmentarne w wielkim wyborze z napisami, również na zamówienie, według podanego rysunku lub wyrażonych życzeń zamawiającego. Ceny stosownie do wykonania, materjału i wagi, mogą wynosić od 3.800 do 60.000 Mk. i wyżej, warsztaty podejmują się również ustawienia tychże. Wykonują się także oparkanienia do krzyżów cmentarnych, figur przydrożnych i pomników.

2. Warsztaty wykonują ogrodzenia, bramy i furtki, krzyże wieżowe, okucia kościelne, balustrady, zacheuszki, świeczniki pod paschały, kandelabry, świeczniki stolikowe przed ołtarze, kraty do okien i do wycierania nóg etc. etc. w ogóle całe urządzenia kościelne w zakres robót ślusarsko-budowlanych wchodzące, także podobne przedmioty do prywatnych budowli i dla P. P. inżynierów budowlanych i architektów.

Na żądanie możemy służyć referencjami odnośnie do każdego z wyżej podanych działów robót i innych.

WYTWÓRNIA ORGANÓW KOŚCIELNYCH

egzystuje od roku 1880 przy pomocy 15 pracujących i sile elektrycznej.

Antoni Adolf Homan

ulica Bielańska L. 16 w Warszawie.

Pierwsza chrześcijańska pracownia parasolnicza

MARJI BEMOWEJ

ul. Wałowa 9,
w lokalu Związku kwieciarskiego

poleca nowe parasole i parasolki, oraz przyjmuje wszelkie naprawy i pokrycia parasoli.

(Kamienica „Miejskiej Kasy Oszczędności“).

Zgromadzenie służebnic Serca Jezusowego

utrzymuje w Przemyślu i w Korczynie pod Krosnem szkoły praktyczne gospodarstwa domowego dla dziewcząt wiejskich, połączone z internatami. Szczególnie uwzględnia się szycie, krój i gotowanie. Kurs rozpocznie się 3 stycznia 1923 i potrwa do końca listopada.

Nauka bezpłatna a opłata za utrzymanie bardzo umiarkowanne.

Bliższych szczegółów udzielają przełożone Sercanek w Przemyślu ul. Szczytowa 16 i w Korczynie pod Krosnem

Tow. „BIBLJOTEKA RELIGIJNA“ we Lwowie pl. Kapitulny 7.

poleca:

KALENDARZ POLSKI na rok 1923

Rocznik 5-ty zawiera między innemi: Wiadomości o Polsce z ostatniego spisu ludności, o sektach amerykańskich, spis szkół zawodowyeh, opowiadania, obrazy z Gdańska i t. d.

Cena 600 M., polecona przesyłka 100 M.

Na chwałę Bożą. Modlitewnik dla młodzieży, str. 256 opr. 1000 M.

Modlitewnik parafjalny, str. 512, opr. 1200 i [illegible]00 **M.**

Chwalcie Pana (śpiewnik bez nut), str. 384. [illegible] 1000 M. i 1200 M.

Przy większych zamówieniach odpowiednie opusty.

Wydawnictwa Tow. Bibljoteka Religijna

we Lwowie, Kapitulny 7.

Nowości:

X. Dr. W. MICHALSKI, „Amos“. Wstęp, nowy przekład, komentarz (z serji Pisma św, t I) . . . . 800 M.
X. Biskup NOWOWIEJSKI, „Msza w okresie przednicejskim“ 700 „
X. Dr. K. WAIS, „Scholastyka i neoscholastyka“ . . . . 200 „
Xr. Wł. WICHER. Niewolnictwo w nauce moralnej chrześcijaństwa 1800 „
Xajważniejsze obowiązki Polaka katolika w chwili obecnej (kazania) . . . . 250 „
Prof. M. STRASZEWSKi, „Filozofja św. Augustyna na tle epoki“ 1500 „
X. Fr. BŁOTNICKI, „Kwiaty przydrożne“ (poezje) . . . . 500 „

X. Dr. T. DŁUGOSZ, „Kościół w Polsce“ (stan obecny w świetle cyfr) . . . . 40 „
X. Dr. J. POPLICHA, „Opowiadanie o potopie w literaturze babilońskiej a w Biblji“ . . . . 150 „
X. Dr. K. WAIS, „Dante jako filozof“ . . . . 100 „
X. Dr. K. WAIS, „Spirytyzm“ . . . . 50 „

Ceny bez dodatku drożyźnianego. Wydawnictwa do nabycia także w księgarniach.

„**Podręcznik adoracji Najśw. Sakramentu**“ . . . . 500 M.
„**Na chwałę Bożą**“, Modlitewnik dla młodzieży. Wyd. 2-gie powiększone str. 256 opr. . . . . 700 „
„**Modlitewnik parafjalny**“. Str. 512 opr. . . . . 600 i 800 „
„**Chwalcie Pana**“ (śpiewnik bez nut) str. 384, opr. . 550 i 750 „

Od książeczek do nabożeństwa udzielamy urzędom paraf. i szkołom 25% opustu.

Najlepsze

DZWONY



przedwojennej jakości

posiada stale na **SKŁADZIE** i przyjmuje zamówienia

firma

istniejąca od r. 1808

Braci Felczyńskich — w Kałuszu

Filja Przemyśl, ul. Krasińskiego 63.

Na żądanie wysyłamy cenniki darmo i opłatnie.

Wydawca i nakładca Tow. wzajemnej pomocy Kapłanów. Lwów, Murarska 49. Odpowiedzialny redaktor Ks. Dr. Pechnik.
Z Drukarni A. Gojawiczyńskiego, Lwów Kopernika 20.